

Triumf torysów

17 maja 2015

Wyborcze trzęsienie ziemi w Wielkiej Brytanii stworzyło polityczną przepaść, którą Davidowi Cameronowi ciężko będzie zasypać. Jedność Zjednoczonego Królestwa i członkostwo w Unii stają pod znakiem zapytania.

Ci, którzy zdecydowali się śledzić długi czwartkowy wieczór wyborczy, byli naocznymi świadkami politycznego trzęsienia ziemi i ideologicznego pęknięcia Wielkiej Brytanii. Ci, którzy położyli się wcześniej spać, obudzili się w piątkowy ranek w zupełnie innej rzeczywistości. Polityczny pejzaż Zjednoczonego Królestwa dramatycznie się zmienił. David Cameron i kierowana przez niego Partia Konserwatywna wygrali wybory i wbrew wszelkim sondażom do rządzenia nie potrzebują już koalicjantów z Partii Liberalnej. To nie jest przekonujące zwycięstwo – 331 posłów daje większość, ale zaledwie 12-osobową – jednak zapewnienie największego wzrostu liczby oddanych na swoją partię głosów niż jakikolwiek urzędujący premier od 1955 r. daje Davidowi Cameronowi mocny mandat do rządzenia i partyjny spokój. Przynajmniej przez jakiś czas. Zwłaszcza że przedwyborcze sondaże wskazywały na remis między laburzystami a torysami, z lekkim wskazaniem na lewicę.

W zeszły czwartek o godzinie 22.00, kiedy BBC ogłosiła wstępne exit polls sugerujące lekką przewagę Partii Konserwatywnej, większość polityków i komentatorów do tych wyników podchodziła niezwykle ostrożnie. Z biegiem czasu wraz ze spływającymi danymi z komisji obraz się klarował i wynik wyborów stawał się coraz bardziej jasny. A potem zaczął się polityczny huragan, który zmiotł ze sceny najważniejsze partyjne figury.

POLITYCZNA GILOTYNA

Pomnikowe postacie zostały obalone jak w czasie rewolucji. Kilka minut po lunchu spadły głowy liderów trzech partii. Nick

Clegg – wicepremier i lider koalicyjnej partii rządzącej, Ed Miliband – lider Partii Pracy, który 24 godziny wcześniej przygotowywał się do zajęcia miejsca na 10 Downing Street, i Nigel Farage – najważniejsza postać UKIP, napędzającej debatę publiczną na Wyspach w ostatnich dwóch latach – nagle stali się byłymi liderami.

Polityczna dekapitacja przeprowadzona została z niezwykłą precyzją i wyglądała, jakby została przygotowana w wojskowym stylu w głównej siedzibie Partii Konserwatywnej. Ale nie były to jedyne ofiary torysów. Cały sztab przywódców zarówno LibDem, jak i Labour został zdmuchnięty. I co nazwisko, to bardziej znaczące. Douglas Alexander – architekt kampanii wyborczej Labour szykujący się do objęcia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ed Balls – najbliższy współpracownik Milibanda, który miał się wprowadzić na 11 Downing Street i objąć tekę kanclerza, nie tylko pożegnali się z rządowymi marzeniami, ale nawet nie weszli do Izby Gmin.

Alexander poległ w starciu z kandydatką szkockich nacjonalistów, 20-letnią Mhairi Black. Ed Balls, polityk znajdujący się w partyjnym centrum od połowy lat 1990., bliski współpracownik Gordona Browna, o 8.15 w piątek dowiedział się, że nie znajdzie się w parlamencie. Jim Murphy, lider szkockiej Labour, ważna postać w szeregach partyjnych, blisko związany z Tonym Blairem, poległ w swoim okręgu i dzień później podał się do dymisji.

W przypadku Liberalnych Demokratów cała partia legła w gruzach, co symbolicznie przedstawiono w wieczorze wyborczym BBC, gdzie liberałowie zdmuchnięci zostali jak domek z kart. Vince Cable, Danny Alexander, David Laws, Simon Hughes, Ed Davey – polityczne tuzy, ważne osobistości i osobowości na Wyspach znikają w niebycie. Osiem mandatów to wynik fatalny i stawiający zwłaszcza finansową przyszłość LibDem pod znakiem zapytania. Przepada budżetowa dotacja, darczyńcy w Londynie znikają, zostają za to zaciągnięte na kampanię długi. Liberałowie znaleźli się na krawędzi. Porażka LibDem była

spodziewana, ale o takiej klęsce mało kto wspominał.

SŁODKIE ZWYCIĘSTWO

Wynik wyborów pokazał, jak trudno przewidzieć polityczną przyszłość. Dziennikarze, publicyści, komentatorzy, akademicy, politycy – wszyscy obnażyliśmy naszą niekompetencję i tak jak Paddy Ashdown, były lider LibDem, powinniśmy zjeść nasze kapelusze (niekoniecznie z marcepanu).

David Cameron swój triumf nazwał „najsłodszy zwycięstwem” i z jego osobistego punktu widzenia ten chwilowy polityczny „sugar rush” jest w pełni zrozumiały. Jego polityczni przeciwnicy upadli. Partyjni rywale ostrzający noże, aby zadać mu cios w plecy – w szczególności burmistrz Londynu Boris Johnson – muszą przez jakiś czas poskromić swoje ambicje. Cameron osiągnął najlepszy wynik Partii Konserwatywnej w ciągu ostatnich 23 lat i zamknął usta swoim krytykom, którzy wciąż mu wypominali, że w 2010 r. nie wygrał wyborów.

Spokój partyjny pozwoli Cameronowi przygotować się do konfrontacji z pobitą Partią Pracy. Premier ma dużo czasu. Funkcjonalna, sprawna opozycja to śpiew przyszłości. Labour ma ciężki ból głowy, a paralele z rokiem 1992, kiedy to niespodziewanie wygrał John Major, są jak najbardziej na miejscu. Teraz też, tak jak wtedy, wydawało się, że atuty są po stronie Labour: niezadowolenie społeczne, wzrastające nierówności, zmęczenie partią rządzącą, ale Partia Pracy nie potrafiła przekonać do siebie większości wyborców. Wówczas lewica postawiła na sprawnego mówcę, przesunęła się do centrum i wygrała wybory trzy razy pod rząd. Teraz jednak taki manewr jest trudny do wykonania. Nie tylko dlatego, że Tony Blair skompromitował tzw. trzecią drogę, ale głównie dlatego, że skręt w kierunku centrum niekoniecznie oznacza wyborczy sukces. W końcu nastroje na północy Anglii i w Szkocji raczej się radykalizują. Labour, próbując sięgnąć po głosy bardziej konserwatywnych i centrowych mieszkańców południa, może utracić swoją bazę na północy. Tak jak utraciła Szkocję.

Dla Davida Camerona to prawdziwy polityczny miesiąc miodowy. Ponad 11 mln głosów, 37-proc. poparcie, 331 miejsc w Izbie Gmin oraz rozbita, skacowana, pozbawiona lidera i niepewna swojej przyszłości opozycja dają mu chwilę oddechu przed nadchodzącą potężną polityczną burzą. Burzą, którą paradoksalnie sam wywołał.

GORZKIE RZĄDY

Kampanijna strategia Partii Konserwatywnej okazała się niezwykle skuteczna, ale jej konsekwencje mogą okazać się niebezpieczne. Pożarcie LibDem i plan, aby za wszelką cenę przejmować okręgi liberałów, dały upragnioną większość, ale jednocześnie skazały Camerona na łaskę konserwatywnych jastrzębi, którzy marzą o tym, by odbić sobie ostatnie pięć lat, gdy byli marginalizowani.

Cameron lubi otaczać się ludźmi z najbliższego kręgu i tworzy polityczne kołesiostwo, spychając na margines całą partyjną resztę. Teraz nie może sobie na to pozwolić. Przez ostatnie pięć lat Nick Clegg i liberałowie tworzyli wokół premiera polityczny kordon, izolując go od prawicowych pomysłów skrajnego skrzydła swojej partii. Premier mógł nie zwracać na nich uwagi i prowadzić w miarę centrową politykę. Małżeństwa gejów, subsydia dla zielonej energii, infrastruktura, pomoc międzynarodowa, a nawet kwestia emigracji nie miały nic wspólnego z mocną retoryką prawego skrzydła Partii Konserwatywnej. Teraz to znika.

Cameron nie może już dyscyplinować torysowskich jastrzębi liberałami. Nadchodzi czas libertarian, skrajnych neoliberalów i przede wszystkim eurosceptyków. Z tymi ostatnimi Cameron będzie musiał stoczyć niezwykle trudną batalię. A przeciwników ma mocnych. To w końcu eurosceptycy doprowadzili do upadku rząd Johna Majora w połowie lat 1990., wprowadzając parlamentarny chaos i wywołując polityczne burze. Premier nie może już dłużej przeciągać referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Cameron nie chce

„Brexitu”, ale nie ma pomysłu na kampanię na tak. Dwa lata to niewiele, żeby przygotować strategię, plan działania i polityczną mapę. Cameron liczy więc na to, że Angela Merkel da mu w prezencie coś, co będzie mógł opakować jako „zwycięstwo z Brukselą”. Kolejne brytyjskie Waterloo. Coś, co pozwoli mu zorganizować referendum i je wygrać. Bo chociaż żaden z czołowych polityków Partii Konserwatywnej tego nie otwarcie nie przyzna, wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej nie wchodzi w grę.

Cameron nie zorganizuje referendum bez pewności jego wygrania i pozostania Zjednoczonego Królestwa w Unii. Tylko że to, co będzie dla Brukseli znaczącym ustępstwem, niemal na pewno nie zadowoli konserwatywnych jastrzębi i eurosceptycznego brytyjskiego społeczeństwa. Problem z idealnymi scenariuszami jest taki, że rzadko się spełniają. Wycofanie się z idei referendum oznaczać będzie koniec Camerona jako premiera i zaledwie dwuletni okres rządów. Rządów, podczas których musi on spróbować posklejać pękniętą Wielką Brytanię.

PĘKNIĘTA WYSPA

Nikt nie wątpił w wyborczy sukces Nicoli Sturgeon i jej Szkockiej Partii Narodowej (SNP), ale skala tego zwycięstwa wprowadziła wszystkich w zdumienie. SNP wzięła 56 z 59 szkockich mandatów i wymiotła z tego kraju Labour. Paradoks polega na tym, że sukces szkockiej lewicy uutorował drogę do władzy angielskiej prawicy. Strategia Camerona polegająca na straszeniu SNP i przekonywaniu, że Labour będzie kukiełką tańczącą w rytm wygrywany przez Sturgeon, odniosła spodziewany skutek. Południowa i wschodnia Anglia, zwłaszcza ta wahająca się, przerzuciła swoje głosy na torysów lub na UKIP. Jednak bezpardonowy atak Partii Konserwatywnej i wspierającej ją prasy na SNP, a szerzej na Szkotów – rozbudził angielski nacjonalizm.

O ile relacje między sąsiadami od jakiegoś już czasu były napięte, o tyle teraz pękły zupełnie. Elity polityczne obu

krajów już dawno mówią w zupełnie innych językach. Szkoci przemawiają Keynesem, Anglicy odpowiadają Smithem. Porozumienie wydaje się zupełnie niemożliwe i w praktyce żadna ze stron go nie chce. Jednak dziś, po ostrej, brudnej kampanii torysów, do niepotrafiących się porozumieć ze sobą polityków dołączają dwa niechętne sobie społeczeństwa. Wzajemne animozje między Anglikami i Szkotami narastają. Reakcyjny nacjonalizm został nakarmiony, teraz Cameron, chcąc pozszywać rozprute polityczne szwy, musi zaaplikować Anglikom pigułkę na przeczyszczenie. Będzie to jednak trudne. Dżin nacjonalizmu wypuszczony przez premiera szybko nie zniknie. Zwłaszcza że szkocka obecność w Westminsterze będzie działała na nerwy południowej Anglii wspieranej retorycznie przez rosnący w siłę UKIP. Bo chociaż Farage nie dostał się do Izby Gmin i zdołał wprowadzić do parlamentu tylko jednego posła, prawie czteromilionowa armia wyborców stanowi siłę, z którą rząd w Londynie będzie musiał się liczyć.

Wątpliwa jest także sugerowana strategia rządu na złagodzenie konfliktu. Torysi wierzą, że wystarczy zaproponować sąsiadom z północy większą autonomię i wprowadzić jakąś formę federalizmu. Jednak pęknięcie między dwoma krajami nie ma wcale podłoża narodowego. To pęknięcie polityczne, na poziomie ideologii i wartości. Nie nawoływanie do niepodległości, lecz równość, społeczna sprawiedliwość, socjalizm, sprzeciw wobec polityki oszczędności – to były hasła, które dały SNP zwycięstwo. Zresztą nie tylko Szkoci są politycznie coraz bardziej oderwani od reszty kraju. To samo można powiedzieć o północy Anglii i Londynie, gdzie lewica wciąż dominuje. Wielka Brytania pękła politycznie na trzy części. Południe i wschód Anglii są konserwatywne, stolica i północ cetrolewicowe, a Szkocja niemal lewacka. Wszystko to oznacza, że rząd Davida Camerona nie będzie się długo cieszył wysokim poparciem i społeczną akceptacją. Torysi nie są lubiani. Nawet przez tych, którzy oddali na nich głos.

Dla wielu wyborców konserwatystów alternatywa była jeszcze

gorsza. Krucha większość, podatność na partyjny szantaż, agresywna opozycja ze strony SNP, wybory uzupełniające zmieniające polityczny balans w Izbie Gmin, bój o Europę, walka o utrzymanie jedności Zjednoczonego Królestwa – przed premierem niezwykle ciężki okres w polityce zewnętrznej i wewnętrznej. Najbliższe dwa lata zdefiniują Davida Camerona jako polityka. Słodkie zwycięstwo może smakować niezwykle gorzko.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk